

OLIVIER
NOREK



MNIejsze
ZŁO

Policja ma go za ZBRODNIARZA,
zwykli ludzie za BOHATERA

MO
VA

OLIVIER
N O R E K



PRZEŁOŻYŁ PAWEŁ ŁAPIŃSKI



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Impact

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Aneeta Young; stokkete / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Éditions Michel Lafon, 2020, *Impact*

Published by arrangement with Lester Literary Agency & Associates

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiecte sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Paweł Łapiński, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-67335-28-7

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



CZĘŚĆ PIERWSZA

GREENWAR

1

2020

Delta Nigru, Nigeria

Trasy ropociągów, Ogoniland

Przy każdym zakręcie wojskowy pick-up jadący na czele kolumny wzbijał w powietrze kłęby pyłu, który wciskał się wszędzie, gdzie tylko mógł. Za samochodem podążało jedna za drugą dziesięć ciężarówek ciągnących się niczym ogromny welon. Patrząc na to z daleka, można by pomyśleć, że to ożywiony groźny tuman sunie pędem w kierunku pobliskich wiosek, gotowy je pożreć.

Solal nie mógł już znieść tego pyłu, który przywierał do ciała niczym druga skóra. Był w każdej kieszeni jego kamizelki taktycznej, w każdej szczelinie metalowej broni, smagał policzki, wpadał do uszu, pod powieki, zgrzytał w zębach. Można było od tego oszaleć. Sam – ze swoim surowym spojrzeniem i krótko ostrzyżonymi włosami – wyglądał niczym

modelowy oficer. Mógł mieć około czterdziestki, ale równie dobrze dziesięć lat mniej lub więcej – u niektórych ludzi nie sposób tego jednoznacznie stwierdzić.

Postukał dwa razy w termometr na desce rozdzielczej. Kiedy temperatura otoczenia utrzymuje się na poziomie pięćdziesięciu stopni, organizm przestaje działać poprawnie i jeśli się go odpowiednio nie schłodzi, szybko kapituluje. Tego dnia było czterdzieści sześć: temperatura niespotykana nawet dla tego zakątka Afryki. A zatem jeszcze cztery stopnie więcej i wojskowy padłby z gorąca. Dosłownie. W ciężarówkach konwoju jechało z nim trzydziestu ludzi z NPMF*, którzy odrobinę lepiej znosili te warunki, choć nie można powiedzieć, żeby w ogóle im one nie doskwierały.

Krajobraz nie zmienił się od stu kilometrów. Kiedy patrzyło się pod światło, imponująca linia palm zdawała się rzeźbić oślepiająco błękitne niebo, całkiem jakby natura trwała tu w nieziennej formie od miliona lat. Ale kiedy tylko słońce przechodziło na krótko za tę linię, palmy odsłaniały swój prawdziwy, rachityczny i wycieńczony kształt.

Ktokolwiek odważył się zniżyć wzrok, mógł dostrzec, że aż po horyzont ciągnie się czarna i błotnista ziemia, przesiąknięta ropą przeciekającą ze starzejących się rurociągów. Po korzeniach drzew płynęły cienkie strużki, na których powierzchni smolista, opalizująca ciecz mieniła się milionem kolorów. Ziemia, aż po najgłębsze warstwy wód gruntowych, wypięła już tyle tej trucizny, że nie była w stanie wchłonąć więcej. Pomimo chusty zasłaniającej

* NPMF: Nigeria Police Mobile Force.

bezużytecznie nos i usta morowy odór węglowodorowych oparów wpychał się do każdego, nawet najdrobniejszego pęcherzyka płucnego. Był to zapach, który można poczuć niemal w formie smaku: coś jakby lizać grunt na stacji benzynowej.

Po obydwu stronach drogi z ziemi strzelały wysoko w niebo ogromne płomienie, otoczone czarnymi kłębam dymu, zwarte, niemal namacalne. Wydobyć ropy powodowało ulatnianie się gazu, który spalano na miejscu w wielkich płomieniach, choć ta metoda była od dawna zakazana. Solal musiał wstrzymać oddech, żeby się nie zakrztusić.

„Dziesięć minut do celu”, zatrzeszczało radio.

Po tym czasie kolumna pojazdów zahamowała przy wjeździe do wioski Goi. Następnie trzeba było chwilę odczekać, aż pył wirujący w ciężkich arabeskach opadnie i przestanie zasłaniać pejzaż.

Pod obszernym dachem z podziurawionej blachy, niczym na peronie niewidzialnego dworca zagubionego w samym środku buszu, zebrało się prawie trzysta osób: kobiet, mężczyzn i dzieci. Złożony u stóp dobytek mieli spakowany do kilku walizek, płóciennych toreb albo worków na śmieci. Przed grupą stała czwórka działaczy Amnesty International, w tym jedna rezydująca w tym kraju na stałe Francuzka, która wymogła na Solalu przyjazd, choć jemu samemu wcale się do tego nie paliło.

Mężczyzna zeskoczył z wozu w złym humorze.

– Dziękuję, że chciało się panu przyjechać tak daleko, panie kapitanie – powitała go kobieta w przepoconym tiszczu.

– Po pierwsze, „panie majorze”. Po drugie, nie dziękuję się za coś, do czego się kogoś zmusiło.

Na jeden gest Solala z ciężarówek zeskoczyło trzydziestu nigeryjskich policjantów: czarne spodnie i kurtki mundurowe, zielone berety, wszyscy w okularach przeciwsłonecznych i z przewieszonymi przez plecy kałasznikowami. Jako ostatni wysiadł Abayé, komisarz NPMF, który dowodził grupą. Mężczyzna został nieco z tyłu i spokojnie zapalił papierosa, jakby nie zwracając uwagi na upał i nieznośny zapach. Wskazał przy tym Solalowi – w razie, gdyby ten jeszcze tego nie zrozumiał – że to wszystko, co zamierza zrobić. Jego również przymuszono do podjęcia się tej misji. Zgodnie z hierarchicznym układem francuski minister spraw zagranicznych zobowiązał Solala do nianczenia i bezpiecznego sprowadzenia z powrotem do Francji młodej działaczki humanitarnej, natomiast komendant policji z Abudży powierzył inspektorowi Abayé czuwanie nad bezpieczeństwem francuskiego majora.

– Zdawało mi się, że Goi ewakuowano już wcześniej, po wycieku ropy? – zauważył Solal. – Co oni tu właściwie jeszcze robią?

Działaczka Amnesty nie straciła ani trochę ze swojego uśmiechu pomimo wyraźnego poirytowania rozmówcy.

– Po „wycieku”? A który konkretnie wyciek ma pan na myśli, majorze? Bo w tej delcie doszło do nich ponad cztery tysiące razy. Lud ogoni sam już nie wie, dokąd pójść. Wszędzie dookoła panoszą się lokalni nafciarze, Shell albo ENI wylewający swoje świństwo, ludzie z Niger Delta Avengers sabotujący infrastrukturę, a do tego skorumpowana policja

i wojsko. Zwykli obywatele nie mają się już do kogo zwrócić. Nawet pan przyjechał tu tylko dlatego, że jestem Francuzką i ambasada dostałaby po dupie, gdybym zadała się z kim nie trzeba albo zniknęła bez śladu zakopana w jakimś dole.

– Każdy ma swoją robotę. Nie przyjechałem tu ratować całej Nigerii, tylko dostarczyć panią w bezpieczne miejsce, do ambasady w Abudży.

Młoda kobieta odwróciła się w kierunku grupy zaniepokojonych wieśniaków o wymęczonych ciałach, których los leżał teraz w rękach tych nieznajomych.

– Ale najpierw zajmiemy się nimi? – wołała się upewnić.

– Takie dostałem rozkazy. Zresztą podejrzewam, że inaczej i tak by się pani stąd nie ruszyła. Dokąd ich właściwie zabieramy?

– Do Port Harcourt. To jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd.

– Do slumsów?

– Nawet tam będzie im lepiej niż tutaj. Ryby zdychają, rośliny wyrastają z ziemi już praktycznie martwe, a woda w studniach jest aż gęsta od metali ciężkich. W powietrzu jest tyle zanieczyszczeń, że spadają tu kwaśne deszcze, które dziurawią blaszane dachy i rozpuszczają skały w pył. Może się pan domyślić, jak to działa na skórę. Ta delta to jedno z pierwszych miejsc na świecie, gdzie życie po prostu zniknęło. Tak że akurat w tym przypadku przeprowadzka do slumsów to całkiem niezła opcja.

Solal, który nie miał zwierzchnictwa nad policjantami z NPMF, poprosił komisarza Abayé, żeby rozpoczęto operację.

Trzystu sponiewieranych mieszkańców Goi zapakowano na ciężarówkę niczym bydło, popychając ich kolbami karabinów i pospieszając ciosami pięści.

Solał przyglądał się temu, starając się niczego nie widzieć, żeby obrazy nie dotarły z jego oczu do mózgu, a z mózgu do duszy. Nie zastanawiać się. Nie zapamiętywać. Zostać całe to gówno na miejscu, w tym zakątku Afryki, który miał nadzieję wkrótce opuścić, i to bez jakichkolwiek wspomnień. A jednak...

Najpierw dostrzegł niesione przez matkę niewidome dziecko, którego pobielale oczy rażąco odcinały się od czarnej skóry. Inny malec próbował wejść po metalowych stopniach na pakę ciężarówkę, ale jego nogi i ręce, nieustannie wstrząsane drgawkami, wydawały się go nie słuchać; wreszcie jakiś żołnierz stracił cierpliwość i wrzucił go na górę. Kolejnego dziecka, którego skóra na plecach, klatce piersiowej i wychudłych ramionach łuszczyła się wielkimi płatami, nikt nawet nie próbował dotykać, tak wielką wzbudzało odrazę. Starsi mieszkańcy wioski wyglądali jak żywe trupy, dorośli byli całkiem wycieńczeni, dzieciarnia, prawie bez wyjątku, chora.

A kiedy na ciężarówkach zaczęło brakować miejsca, ich torby po prostu wyrzucano. Nikt się nie buntował, wszyscy przeczuwali, że nawet obecność Amnesty International nie uchroni ich przed pobiciem albo czymś jeszcze gorszym.

– Chciałabym pana prosić o jeszcze jedną rzecz, majorze – ośmieliła się Francuzka, niemal pewna, że jej prośba zostanie odrzucona.

– Odpowiedź brzmi „nie” – uciął zniecierpliwiony Solal, skupiony na myślach o jak najszybszym opuszczeniu tego miejsca.

– To niecałe sto metrów stąd. Bardzo proszę.

Poszedł w ślad za młodą kobietą, która tak czy inaczej ruszyła przed siebie. Za Solalem podążał niechętnie Abayé oraz dwóch jego ludzi. Na końcu ścieżki z ciemnej i wysuszonej ziemi, okolonej kłębamii gałęzi pozbawionych liści, Solal dostrzegł głęboki krater wypełniony po brzegi trupami w różnym stanie rozkładu. Mogło być ich tam dwieście, ale mogło też być dwa razy tyle. Smród rozkładu mieszał się z odorem ropy, żaden nie był w stanie zdominować drugiego. W tym dole, wśród tych ciał, widać było wiele dzieci, znacznie więcej niż dorosłych.

– W ciągu pięciu lat ponad trzydzieści milionów litrów ropy naftowej zanieczyściło deltę na wybrzeżu Atlantyku – ogłosiła działaczka. – Stąpa pan właśnie po jednym z najbardziej skażonych miejsc na świecie, a oto jeden ze skutków. Po kilkanaście zgonów tygodniowo, i to w każdej wiosce. Umierają za szybko, żeby ktokolwiek zdążył ich pochować.

– Jaja sobie pani ze mnie robi? – warknął Solal. – I co ja mam niby na to poradzić?

– Dookoła tego zbiorowego grobu znajduje się jeszcze jakieś dwadzieścia innych osad poza Goi. W tym słońcu ciała rozkładają się szybko, zamieniając to w jeden wielki rozsadnik mikrobów. Trzeba by tu przyjechać z koparką, wykopać głębszy dół, zasypać wszystko wapnem i co najmniej trzema metrami ziemi. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie choroby mogłyby się stąd wydostać.

Bezlitosna rzeczywistość podstępnie drażyła umysł Solala. W końcu zadał pytanie, którego się wystrzegał i na które bardzo nie chciał usłyszeć odpowiedzi:

– Skąd tyle dzieciaków?

– Trudno wskazać jeden powód. Przedwczesna śmierć, ołowica, rak, problemy z układem krążenia, układem oddechowym, nerwowym. Tutaj co drugie dziecko jest chore. Średnia długość życia w Nigerii wynosi pięćdziesiąt pięć lat, ale w rejonie delty spada do czterdziestu. Czyli sama tylko działalność nafcarska odbiera każdemu z nich piętnaście lat życia. Jest ich tu półtora miliona, a ponieważ to już drugie pokolenie, które musi znosić zanieczyszczenia, w sumie mówimy o czterdziestu pięciu milionach lat życia, które im skradziono.

Wstręt Solala tylko wzrósł, kiedy wyobraził sobie nachelonego nad tym zakątkiem Afryki ogromnego nienasyconego wampira, który przy jednym ataku wysysa czterdzieści pięć milionów lat konkretnej populacji. Młoda Francuzka patrzyła, jak mężczyzna odchodzi na bok i rozmawia chwilę z kapitanem Abayé. Nigeryjczyk rzucił okiem na krater pełen trupów, po czym, zdawało się, wyraził zgodę.

Kiedy działaczka dołączyła do grupy wojskowych i pozostałych członków Amnesty International, konwój ciężarówek gotowych do wywiezienia ostatnich pozostałych przy życiu mieszkańców Goi mógł wreszcie ruszyć w drogę i zostawić za sobą miejsce, z którym nie mogło się równać żadne piekło. Solal, Abayé i dwóch jego policjantów zostali na miejscu, spuściwszy chwilę wcześniej trzy czwarte paliwa z baku jednej z ciężarówek. Nie ma mowy

o godnym pochówku. Nikt nie będzie tu drugi raz przyjeżdżał.

Czarny słup unoszący się do nieba nad płonącymi ciałami widać było z odległości wielu kilometrów.

Urodzeni w ropie i karmieni nią ponieśli od niej śmieć, a teraz w niej płonęli.

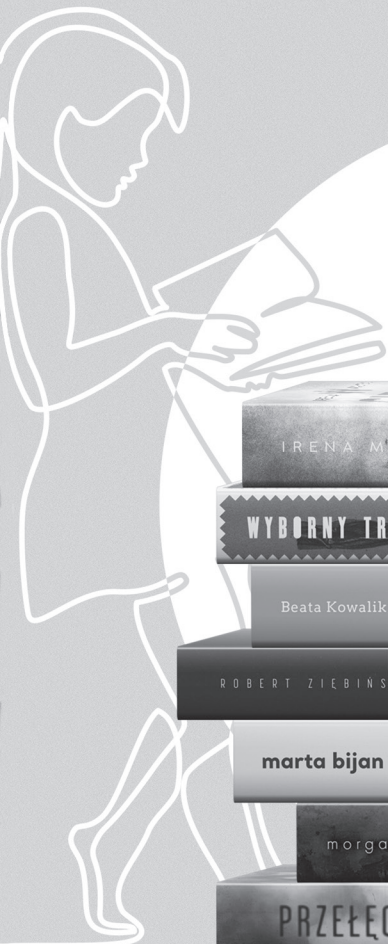
Na widok gęstych ciemnych kłębow młoda kobieta momentalnie zrozumiała, jaką decyzję podjął Abayé do spółki z francuskim majorem. Zamknęła oczy. Całkiem jak ziemia nasycona wodą, która nie może już wypić ani kropli, ona też nie potrafiła więcej znieść.

Solal wszedł z powrotem do pick-upa i przez całą trasę nie zamienił z Abayé ani jednego słowa. Przy wjeździe do Abudży na jego telefonie pokazała się wiadomość. W życiu by nie pomyślał, że tego dnia jednak się uśmiechnie.

„Wyjazd przyspieszono. Wracasz do Francji, Virgil!”



HISTORIE WARTO OPOWIEDZIEŃ



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH